

Kronika tygodniowa.

(Pierwszy rok istnienia Wielkiego Krakowa. — Jak nas Barbara wykławała. — Przepowiednie Flammariona i pani de Thèbes. — Orzeczenie naszych meteorologów. — Możliwość końca świata i jego znaki. — Co słyszał w parlamencie? — Izba panów się rusza. — Sprawy naszego kolejnictwa z okazji ostatnich katastrof. — Kto winowajcą? — Zakończenie wojny o panoramę. — Nowa tragikomedya. — Ach, dla czegoż nie jestem poetą?)

Bieżący rok 1910 jest właściwie pierwszym rokiem istnienia Wielkiego Krakowa. Odnośna uchwała sejmu galicyjskiego uzyskała już sankcję cesarską, oddano też prezydentowi miasta dozór nad majątkiem przyłączonych gmin, faktyczne zaś wcielenie ich zapowiedziane jest dopiero na pierwszego kwietnia. Ponieważ jest to termin bardzo niepewny, gdyż wówczas bawią się wszyscy w tak zwanego zwodziciela, boję się, by przypadkiem i ta sprawa nie poszła znów w odwłokę.

Ze jest to uzasadniona obawa, o tem nie trzeba nawet mówić, na każdym bowiem kroku przekonujemy się, iż jesteśmy igraszką kapryśnego losu. Wierząc w prawdomówność niewieściego rodu, cieszyliśmy się już od dawna, że będziemy mieć piękne święta Bożego Narodzenia, gdyż stare przysłowie powiada, jeśli Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie i odwrotnie. Na Barbarę mieliśmy deszcz i błoto, należało się więc spodziewać, że Boże Narodzenie będzie mroźne, z sanną i ślizgawką. Tymczasem zawiódła nas Barbara, w Boże Narodzenie można było pływać po ulicach. I wierz tu teraz niewiastom śmiertelnym, skoro nawet na święte liczyć nie można.

Wogóle tegoroczna aura pozostawia bardzo wiele do życzenia. Właściwie nie mieliśmy dotąd zimy, kilkudniowe bowiem mroziki i lekki śnieżek uważać należy raczej za nieudatne próby, a nie za objawy tej najsroźszej z pór roku. Żałują też wszyscy, którzy pospieszyli się zanażdo z wykupnem futer z zakładów zastawniczych, widzą bowiem, że wyrzucili niepotrzebnie pieniądze, boją się zaś zanieść je tam z powrotem, gdyż codziennie można się spodziewać obniżenia się temperatury. Słyszałem nawet wywnętrzenia jednego z naszych domorosłych meteorologów, że w roku 1910 spodziewać się należy największych mrozów na Wielkanoc, a w Zielone Święta zrobimy sobie wycieczkę sankami na Bielany. W czasach tak pełnych niespodzianek, jak obecne, wierzę święcie w przepowiednie owego krajowego Falba i choćby termometr wskazywał trzydziestą stopni powyżej zera, nie uwierzę, że mamy już lato i do trzydziestego lipca nie zdejmę futra, chyba, że mi je z pleców ściągnie egzekutor za zaległe podatki. Zastrzegam się jednak, że uczynię to tylko w tym wypadku, jeśli nie odwiedzi nas kometa, zapowiedziany na 18 maja przez wielkiego Flammariona.

Wierzyć także nie można przepowiedniom pani de Thèbes na r. 1910, który wedle jej astralnej rachuby zaczyna się około dwudziestego marca. Ma on, wedle jej proroctwa, zostawać pod panowaniem słońca (dzięki Bogu, że dotąd futra nie wykupiłem z zastawu!) i być przeważnie rokiem spokojnym, choć tu i ówdzie mają się ludzie spodziewać niespodzianek. Stoi to w zupełnej sprzeczności z oświadczeniem Flammariona w sprawie wizyty Halleyowskiej komety i teraz nie wiem komu wierzyć, jej, czy jemu. Nie myślę się zaś wcale angażować i oświadczać stanowczo ani za nią, ani za nim, abym na tem nie wyszedł tak, jak wielcy uczeni Europy i Ameryki, którzy wielbili wielkiego odkrywce, Dra Cooka, dopóki się nie przekonali, że jest on najwyklejszym blagierem, którego nawet Eskimosi zdemaszkowali.

Ten koniec świata przeraża mnie nie na żarty, a sądzę, że nie tylko mnie, ale i lwia część współmieszkańców naszego planety, którzy ani myślą o tem, aby w kwiecie wieku schodzić z tego padółu płaczu i podatków. Wszystko tak się składa, że należy przypuszczać, iż przeciw Flammarionowi miał rację. Powiadają wprawdzie różni niedowiarkowie, że jeśli koń, który ma cztery nogi, czasem się potknie, a nawet przewróci, dla czegożby więc i astronom nie miał się pomylić, zwłaszcza, że o jego nieomyślności żadna religia nie uczy, ja sądzę, że przemawia przez nich właśnie obawa owego końca świata i starają się tylko nadrobić dobrą miną. Wiemy przecież z katechizmu, że koniec świata kiedyś będzie, niewiedomo tylko, kiedy. Mają go poprzedzić różne nadprzyrodzone znaki, a za takie możemy łatwo uznać tegoroczną pogodę, krótki karnawał, odkrycie bieguna północnego i południowego, zdema-

skowanie Cooka, uruchomienie austriackiego parlamentu, a głównie ostatni rok istnienia naszej świętej propinacji, bez której nie możemy sobie ani wyobrazić naszej kochanej Galicyi, a tem mniej już wyborów. Są jeszcze inne nie mniej niezawodne znaki, nie jestem jednak astronomem z zawodu, ani kronika nie jest naukowym traktatem, aby je tu poruszać, zwłaszcza, że wysokie władze zabroniły rozszerzania alarmujących wieści o końcu świata z obawy, aby nie wpłynęło to ujemnie na ochotę w płaceniu podatków. Bo i pocóż płacić podatki, jeśli, zanim przyjdzie egzekucya, nastanie tymczasem koniec świata? Uwierzyła także w koniec świata i pani Borowska, prosząc o odroczenie zapowiedzianej na 12 stycznia rozprawy o zamordowanie adwokata Lewickiego, jeśli bowiem ma nas kometa zmieść z powierzchni ziemi, to obejdzie się i bez jej procesu, który w każdym razie nie może być dla niej przyjemny, choćby nawet spodziewała się uwolnienia.

Nie traćmy jednak fantazyi, i choć skóra cierpnie ze strachu, a dusza, jak to powiadają poeci, siedzi na ramieniu, nadrabiamy przynajmniej miną i pocieszamy się nadzieją, że ani Flammarion, ani pani de Thèbes, ani wspomniany wyżej domorosły Falb, nie mają racyi. Jeśli bowiem rok 1910, ma być ostatnim naszego istnienia, nic nie pomoże, choćbyśmy mieli i morze łez wylać, jeśli zaś Flammarion się pomylił, czyż nie szkoda przez kilka miesięcy dreczyć się niepotrzebnie? Prawdziwie męska i rycerska fantazyja, jaką powinniśmy odziedziczyć po naszych przodkach, osłodzić nam może ostatnie chwile i nie ściągnie na nas zarzutu, że jesteśmy małodusznymi Pigmejami, których przeraża lada drobnotka.

Czas jednak porzucić przypuszczenia, które nam krew psują, a zająć się rzeczywistością, która przecież obfituje w doniosłe wypadki.

Od czasu radykalnej kuracyi, jakiej poddano austriacki parlament, o Izbie poselskiej prawie nie słyszymy, posłowie radzą, uchwalają ustawy i nie kłócą się wcale, a sprawozdania z obrad są tak jałowe i monotonne, jak artykuły wstępne naszych dzienników. O kłótniach, bójkach i koncertach parlamentarnych istnieje już tylko tradycja, wobec nowego regulaminu. Panowie: Iro, Schönerer, Wolf, Trylowski, Budzynowski *et tutti quanti* stracili już swe pierwotne znaczenie, także i sławni *Dauerrednerzy*, którzy tak wstawili się w ostatnich czasach. Ludność krajów koronnych patrzy natomiast z zadowoleniem w stronę Wiednia, widząc, że jej zastępcy nie biorą już zadarmo pieniędzy, ale uczyniają wydatną pracę dla dobra ludu. Oby to jednak długo trwało! Swoją drogą przyznać trzeba, że naszym zastępcom w parlamencie wiedeńskim jakoś jest nie do twarzy w roli poważnych pracowników dla dobra ludu ich pieczy powierzono.

Ale nie tylko Izba poselska pracuje gorączkowo, także i Izba Panów bierze się nie na żarty do pracy i zaczyna się coraz bardziej interesować potrzebami różnych krajów koronnych. Wydaje nam się to nieco dziwnem, przyzwyczailiśmy się bowiem uważać Izbę wyższą za rodzaj magazynu, w którym się gromadzą różne leciwe znakomitości. Obrady toczyły się tam zazwyczaj w ten sposób, że referent prowadził swój wykład, a zebrani spoczywali w objęciach Morfeusza. Dobry przykład widocznie działa, za Izbą posłów zabrali się i „panowie“ do intensywnej pracy.

Wypadałoby sobie życzyć, aby sfery miarodajne zajęły się między innymi i sprawami naszych kolei żelaznych, ale w odmienny nieco sposób, jak dotąd. Przedsiębiorstwo to przynosi rządowi tak znakomite dochody, iż zasługuje także i na gorliwe zajęcie się jego potrzebami i niedomaganiem. Dotąd słyszeliśmy o kolejach tylko z okazji podwyższania cen biletów i frachtów, lub też katastrof, które mnożą się, jak grzyby po deszczu. Służba kolejowa, szczególnie w niższych i najniższych stopniach hierarchii urzędniczej, jest nader wyteżająca i stosunkowo źle wynagradzana. Utało się już zdanie, że każdy kolejarz w czasie swego urzędowania „jest jedną nogą w kryminale, a drugą w szpitalu“, czeka go bowiem albo śmierć lub kalectwo, lub też odpowiedzialność sądowa. Osławiony „szparysystem“ jest tą bolączką, która trapi nasze kolejnictwo i nie da się absolutnie usunąć, gdyż najwyższe sfery wzywają ciągle do *Schonung an Material*. Jaka z tego korzyść, widzi każdy nieuprzedzony... Oszczędza się dziesiątki, a może nawet i tysiące koron, wydaje się zaś miliony na pokrycie szkód, powstałych skutkiem katastrof, które znowu przypisuje się zawsze owej: *vis major*. Skoro więc ma się korzyść z przedsiębiorstwa, nawet pomimo tych nadzwyczajnych wypadków, czyż nie należałoby się zająć radykalną reformą tych stosunków, by, co złe, poprawić, co zaś do poprawy się nie nadaje, wyrzucić? Skorzystaliby

z tego i kolejarze, a co najważniejsza całe podróżujące społeczeństwo, które dziś, siadając zmuszon okolicznościami do wagonu kolejowego, nie jest pewnym, czy opuści go w zdrowiu, czy też uzyska palmę męczeńską.

Niedawne katastrofy w Trzebini i Bierzanowie a ostatnia pod Pardubicami, wykazały dowodnie, że administracyja kolei nie stoi na tej wysokości, na jakiej powinna się znajdować w dwudziestym stuleciu, ale wymaga radykalnej reorganizacyi. Klasycznym przykładem tych stosunków jest ów Zeiss, który miał spowodować katastrofę bicach, człowiek nerwowo chory, a jedna orzeczeń lekarskich, zatrzymany w tak odnej służbie, jak ruchowa. Winy on abseponosi, przyjął ją muszą na siebie ci, uwzględnił jego prośby o przeniesienie do mniej nateżającego działu. Spełnia się jednak i niemieckie przysłowie: *Kleine Diebe händeln, große lässt man laufen!*

Na zakończenie tygodniowej kroniki wspomnieć o rozwiązaniu przesilenia barbakanowego w Krakowie w myśl żądań większej części a wbrew opinii konserwatorów i archeologów. Ilość to, co przepowiedziałem wieszczym duchem natchniony z okazji pomnika Grunwaldzkiego. Nas najlojalniejsi kierownicy polityki miejscowe nowili utracić panoramę, aby się nie narazić przy jaźnionemu sąsiadowi. Miał przyjść podobno *Winkel von oben*, aby nie wpuścić panoramy do barłakanu a może się Styka obrazi i odstąpi od projektu. Gdy się o tem dowiedziano, zakotłowało w sferach radzieckich, które miały ostatecznie rozstrzygnąć — dać barbakan, czy nie. Grono zdrowo myślących obywateli postanowiło postawić na swoim i zwołać obcom na mieszanie się w nasze wewnętrzne sprawy. Ale i przeciwnicy panoramy nie pozostali w tyle, lecz stanęli do bratobójczej walki, użbiw w przekonywujące argumenty. Posiedzenie miejskiej w przeddzień Sylwestra miało być pląboju, na którym starły się ze sobą wrogie zastępy. Mniej odważni zostali w domu.

Wygłoszono szereg płomiennych mów, które usłyszeć można było na tuziny, podawano różne projekty, byle sprawę odwlec... nie pomogły jednak wysiłki i wybiegi przeciwników, panoramiści w imieniu głosowaniu zwyciężyli, uchwalając oddać Styce Rondel na trzy lata, z zastrzeżeniem jednak, że mury nie będą uszkodzone.

Jest to pierwszy akt tragikomedyi, jaka się rozegra z powodu jubileuszu grunwaldzkiego, przypadającego na rok bieżący. Cieszymy się nadzieją, że ta sama historia powtórzy się i z pomnikiem, ofiarowanym miastu przez Paderewskiego, który ze względów wyższej polityki złoży się *ad acta* w Muzeum, a wreszcie, jako epilog, dowiemy się, że z powodu dżumy, grasującej w Chinach lub cholery, panującej w Kalkucie, na życzenie ambasadora niemieckiego, bojącego się zawleczenia zarazy, odłoży się uroczystości jubileuszowe do następnej rocznicy, która przypadnie akurat za lat sto!

Mam wielką pretensję do Opatrzności, iż nie obdarzyła mnie geniuszem poetycznym, popełniłbym bowiem na tem tle epopeję, która by zapędziła w kozi róg nieboszczyka Homera, a stanowiła po wieczne czasy spiżowy pomnik baraniej uległości nie którym naszych osobników!



Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.

